

# Czarne kamienie

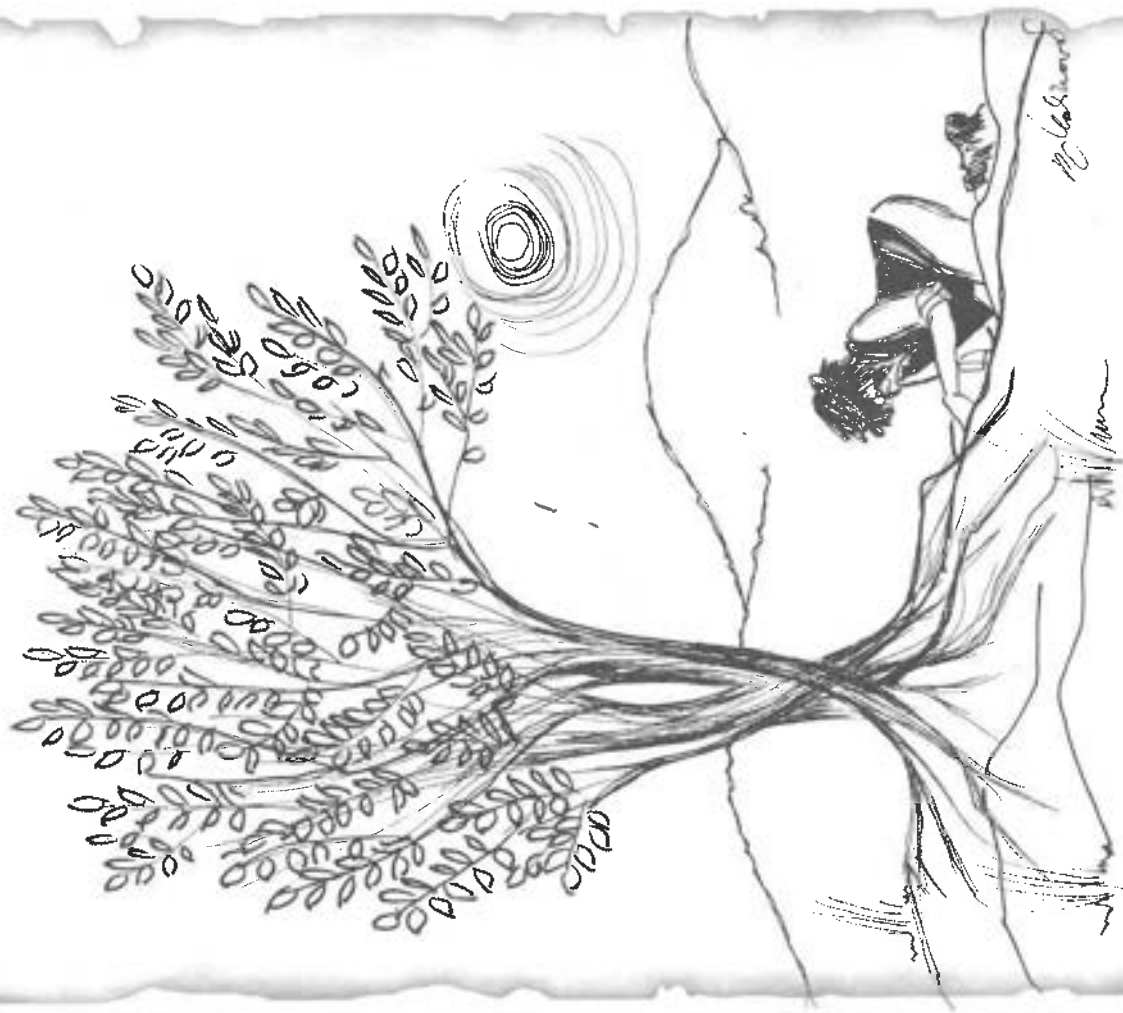
Dawno, dawno temu na wałbrzyskiej ziemi, pośród wzgórz zielonych, w ubogiej chatce mieszkała wielodzietna rodzina – taka, jakich wiele. Matka głównie zajmowała się domem, choć czasem też pracowała w polu. I oczywiście opiekowała się swoimi dziećmi, a miała ich dziewięćcioro. Ojciec ciężko uprawiał mało urodzajną ziemię, pomagał w młynie, niekiedy pasał owce i kłusował na dziką zwierzynę. Niestety, często też zapominał, że jest głową tak licznej rodziny i przesiadywał w szynku, grając w karty i pijąc piwo. Dochodziło tam czasem do kłótni i bójek między mężczyznami, którzy wypili zbyt wiele. Gdy panowie szukali zapomnienia w alkoholu, kobiety przejmowały większość męskich obowiązków: pracowały w polu lub obejściu. Z tego też względu nie mogły poświęcać swoim dzieciom tyle czasu, ile by chciały. Choć – co trzeba przyznać – głównie opiekowały się najmłodszymi pociechami, które albo gorączkowały, albo ząbkowały. W tym czasie starsze dzieci zajmowały się poważnie pracą, ale problem był ze średnimi, bo wiem te nie umiały być tak pomocne i często znikwały z obejścia na dłuższy czas. I takim właśnie średnim dzieckiem był Janek, który powinien paść owce, ale tego nie lubił. Jego głowa zajęta była wszystkim, co się wokół niego działo. Patrzył jak pszczoły zbierają miód, obserwował motyle, podglądał ptaki. Wszędzie go było pełno.

Pewnego razu chłopiec zauważył norę, do której lisica zносиła upolowane ptaki. Obserwował to miejsce przez kilka dni, aż w końcu doczekał chwili, gdy czarne noski młodych lisek wychyliły się z nory. Upodobał sobie jednego z nich. Bardzo chciał zabrać go do domu. Jednak gdy Janek zbliżył się do norki, ziemia zapadła mu się pod nogami. Jakoś udało mu się wyczołgać z jamy, ale był cały brudny i osmołony. Schylił się, aby otrzepać spodnie i nagle dostrzegł w jamie małe, błyszczące, czarne kamyczki. Chłopięcym zwyczajem pozbierał je i schował do kieszeni.

Wieczorem Janek wyciągnął znalezione w norze czarne kamienie i począł się nimi bawić. Mama zauważyła, że strasznie się przy tym ubrudził. Nakazała więc, aby umył ręce. Ale po chwili Janek ponownie się bawił i nie dość, że znów miał czarne ręce, to jeszcze poplamiał spodnie. Zdenerwowana matka nakazała mu natychmiast wyrzucić te „brudne”

kamienie. Janek cisnął je w piec, który po chwili zrobił się czerwony od żaru, dając tym samym przyjemne ciepło! Kamienie płonęły, najpierw niebieskim płomieniem, potem rozżarzały się do czerwoności i na koniec zamieniły w popiół. Chłopiec opowiedział o tych dziwnych matce, ale ta - zapracowana - skarciła go, żeby nie zawracał jej głowy. Późnym wieczorem, gdy ojciec wrócił z szynku, chłopiec przysiadł obok niego na drewnianej ławie. Jemu też próbował opowiedzieć o dziwnych kamieniach, które po wrzuceniu do pieca wypalają się na popiół. Ale i ojcu nie bardzo chciało się wierzyć w fantazje chłopca. Następnego dnia Janek znów zawędrował do jamy liska. Nazbierał pełne kieszenie tajemniczych kamieni. Ponowił próbę: wrzucił je do pieca i czekał. Już po chwili w izbie było przyjemnie ciepło, a w piecu, aż huczało. Kamienie rozżarzone do czerwoności paliły się przez długą chwilę. Matka wrzescie zainteresowała się zabawą chłopca. Zwróciła uwagę na płonące kamienie, bo dzięki nim jądro tego dnia ugotowało się szybciej niż zwykle. Rozmówiła się z mężem i uradzili, że pójdą zobaczyć do listej jamy. Podążali za chłopcem w milczeniu. W końcu dotarli do celu i Janek wskazał rodzicom lisią norę. Nazbierali sporo kamieni. Piec wesoło huczał cały czerwony od dziwnych węgli. Już po kilku dniach wieść rozniósła się po całej wsi. Ludzie zbierali tajemnicze czarne kamienie i zanosili je do swoich domów. Po pewnym czasie, zadowoleni z ciepła, już nie tylko wybierali węgle z jamy, ale i wokół niej poczuli kopać. Kamienie bowiem sprawiały, że w domu było cieplej i strawa gotowała się szybciej. Z każdym dniem węgiel wydobywali coraz więcej i więcej. I tak z nic nieznaczącej listej jamy, dzięki ciekawemu dziecku, odkryto na naszych ziemiach węgiel. W miejscu, gdzie lisica miała młode, powstała pierwsza kopalnia węgla na terenie Wałbrzycha. Nazwano ją „Lisią Sztolnią”. Z czasem zaczęły też powstawać inne miejsca wydobywania węgla. Rozwinęło się górnictwo i kominy zaczęły wyrastać jak drzewa. Na pamiątkę pierwszej kopalni w Wałbrzychu ustawiono wielki kamień z emblematem górnictwa, młotkiem i perłikiem oraz napisem, że w tym miejscu 18 czerwca 1794 roku z podziemi wypłynęła pierwsza barka z węglem. Nieco dalej nad bramą jednego z budynków umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą górnika pchającego łódź. Było to godło karczny „Pod Żegluga”, w której pokrępalili się woźnicy czekający na węgiel. Zasiadali w niej też górnicy po pracy i opowiadali o tym, jak to Karkonosz - duch gór i skarbów podziemnych - przechadza się po kopalnianych korytarzach.

*Liliana Wiercińska-Gronus*



## Czarne złoto

ziano się wtedy, gdy ciężko żyło się ludziom w małych sudeckich wioskach ukrytych w dolinach i otoczonych bezkresnymi lasami i borami. Zimą trudno było przedostać się z osiedla do osiedla, bo na nieprzetartych szlakach zalegał śnieg, a zaspasy sięgały ramion dorosłego człowieka. Wyglodzone wilki zaglądały do ludzkich siedzib, czyniąc pustoszenie w kurnikach i obórkach, co budziło strach wśród ludzi. Nawet nie było się komu poskarżyć na ciężki los, bo panowie w zamkach i grodach na co dzień byli dla zwykłej ludności niedostępni.

W jednej z takich sudeckich osad mieszkał smolarz Bogusz, człowiek prawy, szlachetny i bardzo silny: potrafił bowiem jedną ręką podnieść ciężki worek albo unieść konar drzewa. Mężczyzna ten miał gołębie serce: wszystkim dobrze życzył, służył dobrą radą i pomocą w potrzebie. Nigdy nie narzekał, że jest zmęczony albo chory. Na jego dwarży gościł uśmiech. Jednak siła i uśmiech to nie wszystko, bo – tak jak inni – miał kłopoty i swoje troski: bieda zaglądała do chaty, w której mieszkał wraz z żoną, dziećmi i wiekowymi już rodzicami. Smolarz marzył o tym, aby poprawić los swojej rodziny, żeby dzieci w przyszłości nie musiały tak ciężko pracować jak on, który zarabiał na życie topieniem smoły w borze, daleko od domu. Woził ją potem na niziny, sprzedawał za smarne grosze. Uprawiał też ziemię na wyrebie lasu koło Piaskowej Góry. Gdy wracał do domu, pogwizdywał i nucił znane z dzieciństwa piosneczki. Cały emanował radością i szczęściem, gdy myślami był już z najbliższymi. Trudno było mu rozstawać się z domem, borem, rodzinnymi stronami, ziemią wałbrzyską. Kochał wszystkich ludzi, zwierzęta, drzewa, ptaki. Głaskał sarny i obejmował konary buków. Nigdy z nikim nie kłócił się. Czasem, gdy ktoś zranił go słowem, odplatał się uśmiechem. Taki to był dusza-człowiek.

– Bóg z nim – mówili ludzie ze wzruszeniem ramion.

Bogusz – Bogusz – ach to ten... wielki, szczęśliwy człowiek! – dodawali. Ale ten wielki radosny człowiek o gołębim sercu, tytanicznej sile i uśmiechu na ustach cały czas w głębi duszy myślał nad tym, jak

sprawić, by dzieci nie musiały ciężko pracować. Kiedyś, gdy przysnął w upalny wieczór pod grubym dębem, śniło mu się, że znalazł wielki skarb Karkonosza. Uśmiechał się sam do siebie i przeraził jednocześnie, że nawet we śnie może czegoś więcej chcieć. I to skarbu, legendarnego skarbu! Wstał, otrząpał biedne odzienie i ruszył do wioski, nucać:

Wdowa dwór buduje,

żołnierz jej się dziwuje.

Nie dziwujcie się, żołnierzu,  
smutno w moim alkierzu.

Usiadł żołnierz za stołkiem  
turlnął do niej pierścionkiem,  
ola Boga, co takiego?

– to ja widzę męża swego.

Mysł o skarbie towarzyszyła smolarzowi nieustannie, choć w chacie było wesoło i gwarno – jak zwykle cieszone się jego powrotem. Dzieci dostawały niedrogie podarki, żona, spodziewająca się kolejnego dziecka, garść witamin w postaci pięknych i słodkich malin. Dziadkowie, skuleni przy piecu, wychodzili na środek izby, aby nacieszyć się widokiem syna. Po postnej kolacji, gdy dzieci przytulone do siebie spały słodkim snem, żona wieczorna zaglądała do okienek, jakby sama chciała przekonać się, czy w tym domu naprawdę mieszka szczęście; Bogusz przeczesywał palcami złociste łany włosów swojej żony. Wtem usłyszał jakiś szelest pod drzwiami. Podszedł do nich, otworzył i powiedział:

– Wędrowcze, wejdź do chaty, noc tuż, tuż, a lasy wokół. Gdzie to nocą będziecie wędrować? Miejsca u nas niewiele, ale dla was jeszcze starczy. Nikogo jednak nie było. Wyszedł więc Bogusz przed chatę, a za nim żona i dzieci zbudzone ze snu oraz stary pies. Nikt z nich jednak nikogo nie zobaczył.

– Byłem pewien, że ktoś kręci się po obcójściu, a tu ani żywego ducha – zdziwił się Bogusz. Łuny gasły na niebie, księżyc sierpem zaświecił, migotały gwiazdy, więc można by dostrzec człowieka. Ale słychać było tylko owady krążące nad resztkami pokarmu w psiej misce. Nagle przeraźliwie zawył pies. Odpowiedziały mu psy z sąsiednich zagrod. Wszystkim ze strachu ciarki przeszły po plecach. Wycie było przeciągłe, bardzo dziwne i przerażające.

– Ktoś tu jest – stwierdził Bogusz – a nikogo nie widać.

Wszyscy zrobili znak krzyża i powiedzieli niemal jednocześnie:

– Wszelki duch Pana Boga chwali...  
– Jak jest tu kto żywy? Zapraszam do izby! – krzyknął w ciemność Bogusz.

Ale tylko spłoszył swym krzykiem śpiącego kosa. W końcu psy się uspokoiły i leniwie położyły na klepsku. Lekki powiew wiatru zagóścił przez chwilę w koronach drzew. Nastąpił niczym niezmana cisza. Powrócili więc Bogusz do izby.

– Może to sam Bóg ciekawy ludzkich spraw zajrzał do izby? – zastanawiała się matka Bogusza. – A może to sam Karkonosz, choć ponoć już po świecie nie chodzi...

– A dawniej chodził? – zapytały dzieci.

– Chodził.

– Opowiedz babciu! – poprosiły wnuki.

– Gdy miałam tyle lat co wy, to starzy ludzie mówili, że spotykali Karkonosza... – zaczęła babcia.

– Babciu opowiedz!...

Darczne były jednak próby dzieci, babcia w jednej chwili usnęła. Potem już nie wracano do tego tematu.

Minęło lato, jesień, w końcu mroźna i ciężka zima. Z wiosna, gdy zielen chciała dorykać nieba, a góry pokryły się mchem, nic nie mąciło dnia codziennego. Owce rodziny Boguszów pasły się na zboczach pilnowane przez starsze dzieci. Żona karmiła piersią najmłodszego synka. Bogusz ruszył w stronę wałbrzyskiej osady po to, by wykarczować skraj lasu i uzyskać tym samym pole pod zasiew. Z zapałem okopywał ogromny dąb i choć pot rosł mu czoło, pracował od kilku godzin nie przerywając pracy. Kiedy tak z trudem karczował kolejny korzeń, zobaczył obok siebie jakąś postać. Był to stary, brodaty człowiek ubrany w łachmany.

– Szczęść Boże! – odzwał się na powitanie starzec.

– A daj Panie Boże! – podziękował za dobre słowo Bogusz i wyprostował zmęczone plecy. Uśmiechnął się dobrodusznic do starca. A ten zaproponował mu pomoc w pracy. Bogusz przyjął propozycję, choć z góry zakładał, że niewiele może mu ten stary człowiek pomóc: wszak wyglądał na wątłego i zmęczonego życiem. Jednak już po chwili pracowali razem. Bogusz obiecał, że jak skończy pracę, zaprosi go do swojego domu i ugości. Staruszek tylko się uśmiechnął, a w jego oczach było widać błyski zadowolenia, choć sama twarz wydawała się być surowa. Pracowali obaj przez dłuższy czas, odrzucając ziemię, kamienie, długie grube korzenie.

W pewnej chwili pod korzeniem ukazała się zadziwiająca dziura. Ziemia osuwała się na boki, tworząc głęboką jamę. Zdumiony Bogusz zapytał:

– Co to? Wygląda jak wejście do wnętrza ziemi...

– Wejdźmy tam – zaproponował starzec i ruszył pierwszy, a Bogusz ruszył za nim. Spoglądał na nieznanego, który pewnym krokiem szedł na przód, jakby był u siebie. Smolarz nie mógł się nadziwić: to spoglądał na starca, to na czeluść przed nimi. Zatrwożony zauważył, że starzec niesie lampę, której dotąd nie miał. Migotliwe światelko oświetlało ściany tunelu. Obaj schodzili coraz to głębiej do wnętrza ziemi.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytał wreszcie smolarz.

– Do swoich skarbów – odpowiedział mu na to starzec.

– Do skarbów?... – zdumiał się Bogusz

– Idź za mną i nie lękaj się. Już nie daleko.

Bogusz szedł w milczeniu, choć jedna myśl gonila drugą – nie potrafił wyformułować sobie o co w tym wszystkim chodzi. Czuł się nieswojo, choć miał czyste sumienie i niczego się nie bał. Wtem starzec podniósł wyżej latarnię i ukazała się ogromna pieczara, której czarne ściany potyskliwie lśniły.

– Oto moje skarby, o których ludzkie marzą – rzekł starzec.

– Skarby?... – zdumiał się Bogusz i spojrzał na zgarbioną postać starca.

W jednej chwili myśl zaświtała w jego głowie. Zniżył głos i szeptem zapytał:

– To wy, panie, jesteście tym słynnym duchem naszych gór?

Niezajomy uśmiechnął się tajemniczo i skinął głową.

– Tak, jestem Karkonosz. Duch gór i lasów dolnośląskich – odpowiedział, po czym gestem ręki wskazał kamień i zaproponował, aby usiedli. Po chwili milczenia zaczęła swoją opowieść:

– Jestem Karkonosz – ukochałem swoje góry, każdy kamień, wzniesienia i szczyty. Kochałem każde drzewo, polne kwiaty, ptaki i zwierzyne.

Wszystko tom kochał, a nade wszystko legendarną księżniczkę Jadwiżkę... Ale nie mnie była pisana. Z rozpaczą brnąłem w śniegu po szczytach gór, jak pielgrzym. Dotykałem czoła nieba, kłaniały mi się modrzewia w śniegowych czapach. Biały puch przykrywał wąwozy górskie i każde zbocz. Niekiedy zsuwała się lawina śnieżna, łamiąc przystrojone szczyty brzozy. Wędrowałem dalej, w przypiętych do stóp deskach. W końcu pozbyłem się ludzkiej postaci i poszedłem do mojego podziemnego królestwa. Tam ze zgrozą stwierdziłem, że moje królestwo stoi

w płomieniach, jak w objęciach piekielnych mocy. Ogień szalał, trawiąc pałace, komnaty i czarowne ogrody. Szalał, niszcząc wszystko, co spotkał na swej drodze. Przepalał meble i skarby najznakomitsze, zamieniając w spaleniznę, rozżarzał do białości wszystkie moje kosztowności. Spalał i przemieniał w węgiel. Biegałem jak oszalały pośród płonących komnat, wśród wściekłych płomieni ognia, sam – zupełnie sam. Utraciłem korzeń życia! Skarb najcenniejszy – został w błękitnej sali, ukryty w szkatulce wysadzanej diamentami. Okazało się, że został tylko popiół, który rozsypał się, gdy próbowałem dotknąć nieistniejącej już szkatułki. Straciłem wszystko: skarby, ludzką postać i miłość. Byłem bliski szaleństwa. Biegałem po komnatach i krzyczałem: „Gdzie moja szkatulka?! Gdzie korzeń życia?!” A pożar się wzmagał z każdym moim krzykiem. Płomienie lizaly za zgrozą krzewy i konary drzew. Liście zdawały się krzyczeć z bólu w gorących płomieniach. Ze świenków kapła żywica, która dodatkowo podsycała ogień. Biegałem i krzyczałem w niebogłosy z żalu nad utraconą szkatułką i korzeniem życia. Nic wiem, jak długo to trwało, może całe wieki. Ale w pewnej chwili ogień zgasł, a moje podziemne królestwo przemieniło się w zwęglone usypisko i w jednej chwili z piekielnej gorączki powiało zimno. Wszystko odbywało się w zawrotnym tempie. A już po chwili woda zalewała wszystko: lody zaczęły topnieć, bo pędząca woda rozpuszczała wszystko, co spotkała na swojej drodze. Tworzyły się wodospady. Kłęby pary wybuchały z rozżarzonych czeluści. Gdy woda spłynęła i wystygł żar z podziemnego ognia, uświadomiłem sobie, że moje królestwo przemieniło się w węgiel. Krażyłem podziemnymi korytarzami, dotykałem czarnych ścian. Cudem uniknąłem oblędu. Zrozumiałem wtedy, że moje skarby staną się skarbami ludzi. Od tamtej chwili chciałem je dać ludziom, podzielić się z innymi. W tym celu przemierzałem lasy i bory, przemierzałem ogromne połacie ziemi, przedzierając się przez gąszcze. Przelatywałem z wiatrem nad wioskami, nad polanami i kotlinami. Nie pokazywałem się nikomu. Obserwowałem ludzi, szukałem uczciwego dobrego człowieka. I tak znalazłem ciebie, Boguszu. Długo obserwowałem twoje poczynania, wiedziałem, że jesteś szlachetny, uczciwy, pracowity i szczerzy. Jesteś człowiekiem, którego przepiętna radość myśli i prawdość

charakteru, dlatego wybrałem ciebie. Pokazałem ci moje skarby i daje ci je. Czerp z nich do woli – to czarne złoto. Rozrosło się ono pokładami po całym Śląsku. Węgiel ten będzie bogactwem śląskiej ziemi, da tobie i innym ogromne korzyści. Da wam ciepło. Będziesz mógł go dowozić do innych, sprzedawać, zamieniać.

– Jak to ja mam czerpać z twojego bogactwa? Dawać go innym? A cóż tobie zostanie, panie? – zatroszczył się szczerze Bogusz.

– Starczy i mnie, i tobie, i innym, jest tego bogactwa w nadmiarze.

– I pozwalasz mi obdarować nim innych?

– Tak Boguszu, dzieci twoje dostaną, twoje wnuki i ich wnuki, i kolejne pokolenia... Jego pokłady są niewyczerpalne – wyjaśniał cierpliwie Karkonosz.

– Nie chcę być bogatym – wystarczy, jeśli będę żył z rodziną dostatnio i spokojnie.

Usmiechnął się duch gór, zadowolony ze swojego wyboru.

– Czyż tak, jak chcesz Boguszu, ta kopalnia jest twoja. Weź tyle, ile ci potrzeba, pokaż innym drogę, niech czerpią to bogactwo. Bogusz trzymał w dłoni lśniącą czarną bryłę węgla i nie mógł się nadziwić, ani pojąć tego, co się wokół niego działo.

– Dziękuję Ci duchu gór, dobry i możny Karkonoszu. Pójdę już do domu, powiadomię braci i ludzi, których napotkam. Niechaj obdzielają wszystkich tym skarbem.

– Biegnij Boguszu i żegnaj! Nicch ci się wiedzie.

– Żegnaj panie – dobroczyńco ludu na śląskiej ziemi.

Pobiegł Bogusz do swoich, trzymając w ręku czarną bryłę. Duch gór spojrział jeszcze na las i zginął w czeluściach ziemi. Niedługo po tym ludzie zaczęli kopać, tworząc wielkie wyrobisko. Zwali ją kopalnią Bogusza. A duch gór czasem tylko z latarenką przenikał w korytarzach kopalni. Sprawdzaj jak idą prace. Spokojny, że obdarował swój kraj największym bogactwem.

**Liliana Wiercińska-Gronus**



# Legenda o Walszychu

Stało się to dawno, dawno temu - z dziewięć wieków w zaprzęśłość, kiedy bory i lasy obfite były we wszelką zwierzynę. U podnóża góry, na której stała warowna twierdza zwana Nowym Dworem, powstała osada słowiańska dająca początek wiosce, w której żyli i pracowali ludzie poddani panu z Nowego Dworu. Trudnili się polowaniem i bartnictwem. Jako drwale pracowali w pańskim lesie. Ludzie pędzili dostani żywot, bo las ich żywił i odzicwał: z upolowanej zwierzyny mieli jadło i skóry.

Pewnego razu Bolko I - pan z Nowego Dworu - z całą swiątą i liczną sforą psów wyruszył w lasy sudeckie na polowanie. W czasie łowów psy myśliwskie zwietrzyły dorodnego jelenia i zaczęły go gonić. Wściekle ujadanie rozpedzonych chartów i tętent kopyt końskich zmyliły nieco trop zwierzęcia. Sfora zgubiła ślad. Goniłwa rozpięchła się po lesie, konie cwałowały na oślep, psy - skowycząc - kręciły się wkoło zawzięcie szukając śladów zwierza. Na rozkaz księcia odtrąbiono koniec pościgu. Wówczas wszyscy myśliwi zebrali się w lesie na polanie, a Książę ogłosił, że kto wytropi owego jelenia, zostanie sownie wynagrodzony i otrzyma znaczne przywileje. Rządni sławy giermkowic-myśliwi przystali na wezwanie. Zebrali się w kilka grup i wraz z psami rozproszyli po lesie. Jeno jeden giermek ze swoim chartem, co go od małego wyniańczył, ruszył w pojedynkę.

Uplynał dzionek cały i słońce chyliło się ku zachodowi, mgły ścielić się zaczęły na nizinach, kiedy pierwszy ochotnicy wracali z wyprawy, która okazała się płonna. Zwierzca nie upolowano. Myśliwi - zebrani przy ognisku - czekali aż wszyscy powrócą z lasu. Dobrze już zmierzch otulił las, kiedy Książę usłyszał granie rogu obwieszczające zwycięstwo nad zwierzyną. Wnet ukazał się na koniu ów samotny giermek ze swoim wiernym towarzyszcem, ciągnąc w trokach upolowanego jelenia.

Aby zaspokoić ciekawość i księcia, i myśliwych opowiedział od

początku, co wydarzyło się w borze. Zebrani przy ognisku z zaciekawieniem słuchali opowieści. A giermek – w wymowie biegły – tak pięknie o tym zdarzeniu opowiedział: „Jakiś czas mój dzielny chart latał jak opętany, jakby szaleju się najadł, aż natrafił na trop rogacza. Osaczony stał jak skamieniały, więc niewiele myśląc, wymierzylem z łuku i strzała ugodziła jelenia. Ten zerwał się – widać nie był śmiertelnie ugodzony – i powlókł w las. Tedy zszedłem z konia i idąc śladem za moim psem, trafiłem na jelenia leżącego źe strzałą w boku. Chcąc oszczędzić zwierzęciu męczarni, postanowiłem zadać ostateczny cios. Ten śmiertelny cios, który mu zadałem spowodował, że jelen w agonii, ostatkiem sił zranił mnie ciężko. Obaliłem się bez przytomności na ziemię. Kiedy się ocknałem, z odniesionych ran upływała krew a razem z nią siły i życie. Pomyślałem sobie tedy, że kres mojego żywota nadszedł”.

Zasłuchani rozdziawili gęby i dziwowali się, że przed nimi stoi cały i zdrów. Ale dzielny myśliwy wyjaśniał dalej: „Leżąc tak w malignie bez sił w całym ciełe zanosiłem mody do Miłosiernej Maryi Panny o zmiłowanie prosząc. Wtenczas szmer wody do przytomności mnie ocucił, słabowity, ale nieco okrzepły, doczołgałem się do źródelka, które nagle zaczęło wybijać się z ziemi. Pojąc trawione gorącąką ciało uświadomiłem sobie, że stał się cud: rany zasklepiły się tak, jakby ich nigdy nie było! A siły wstąpiły we mnie takowe, że podkowy mógłbym zginać. I oto stoje teraz przed wami cały i zdrowy, a zwierzę upolowane z szacunkiem przed księciem pokładam”. To powiedziawszy, pokłonił się giermek księciu.

Zasłuchani myśliwi słowa wydobyc z siebie nie mogli z podziwu dla cudu, jakiego myśliwy doznał. Książę słowa dotrzymał i wynagrodził giermka sownicie oraz pasował na rycerza.

Na miejscu, gdzie źródetko wodę życia toczy, książę kazał wybudować kapliczkę ku czci Miłosiernej Maryi Panny.

Od niepamiętnych czasów pielgrzymowali ludziska do cudownego źródelka, szukając pomocy czy o zdrowie i szczęście prosząc. Ze wszystkich stron nadciągali wędrujący, aby pokłonić się Maryi i zaczerpnąć wody. Z czasem wokół kapliczki zaczęto budować domy gościnne i gospody, żeby strudzeni pielgrzymowaniem ludzie mogli godziwie odpocząć i posilić się na dalszą drogę. Dało to początek miastu, które pierwotnie zwano Pielgrzymią Górą.

Mijały lata, powstawało coraz więcej zabudowań wokół kapliczki, którą także rozbudowano. W końcu powstał kościółek, który przetrwał wieki.



Miasto - wyrosło u podnóża góry zamkowej, na której stał Nowy Dwór - przyjęło nazwę Leśny Gród (niem. Waldenburg). Zapisane przez kronikarzy wzmianki o Leśnym Grodzie mówią o przyznaniu mu praw miejskich około 1426 roku. Miasto przez kilka wieków pozostawało własnością prywatną aż do roku 1808, a w roku 1818 otrzymało status miasta powiatowego.

***Danuta Orska***

# Utracane szczęście

amczysko zwane Nowym Dworem stało na wysokiej górze, która była porośnięta tak wysokimi drzewami, jakby do nieba wspinać się chciały. Onegdaj panami Nowego Dworu byli bracia z rodu von Czetrtritz. Wieść o ukrytych tam skarbach niosła się po okolicy. Wielu śmiałków próbowało swoich sił, żeby tajemniczy skarb odnaleźć. Jednak miejsce zrąbowanych na szlakach handlowych skarbów wiadome było tylko owym braciom.

W jednej z wiossek u podnóża góry zamkowej wraz z całą rodziną żył drwał z imienia Grundel. W chacie bieda wyzierała ze wszystkich kątów. I dnia pewnego, kiedy dziadki jeszcze ze snu oczu nie przetrarli, matka już ogień rozpalila i strawę gotować poczęła. Kółem zasiedli przy drewnianym stole na środku misę z dymiącą kaszą stawiając. Rodzina była liczna, każdy dzierżył w ręku łychę, aby mógł sięgać po strawę do wspólnej misy. Zaczął najstarszy, czyli Grundel, potem dzieci w kolejności od starszeństwa a na końcu matka. Za drugim nawrotem ukazało się puste dno miski. Ojciec ze smutkiem patrzył na wyfodniałe dziatki i wielka złość go brała, i niemoc wszelaka, że nijak będzie zaradzić nie może.

Ze zwieszoną głową ciężką od trosk wyszedł Grundel z chaty jak co dnia do boru, gdzie w pańskich lasach najął się jako drwał do ścinki drewna. Szedł wolno, strapiiony w rozmyślaniu swoim rady szukając, jakby tu będzie z chaty przegonić. Na nic zdały się rozmyślenia - rady takowej nie znalazł.

- Jeno nam z głodu pomrzeć przyjdzie! - westchnął.

- Z głodu nie pomrzecie. Ja ci to powiadam, jakim wickowy starzec, strażnik skarbu w Nowym Dworze - odezwał się ni stąd ni zowąd głos jakoby z podziemi pochodzący.

Pewnie to z głodu jakieś omamy mnie dopadły - pomyślał drwał - albo bies jaki mnie nachodzi. Wystraszony Grundel stanął jak wryty pośrodku lasu. Wtedy znów głos usłyszał:

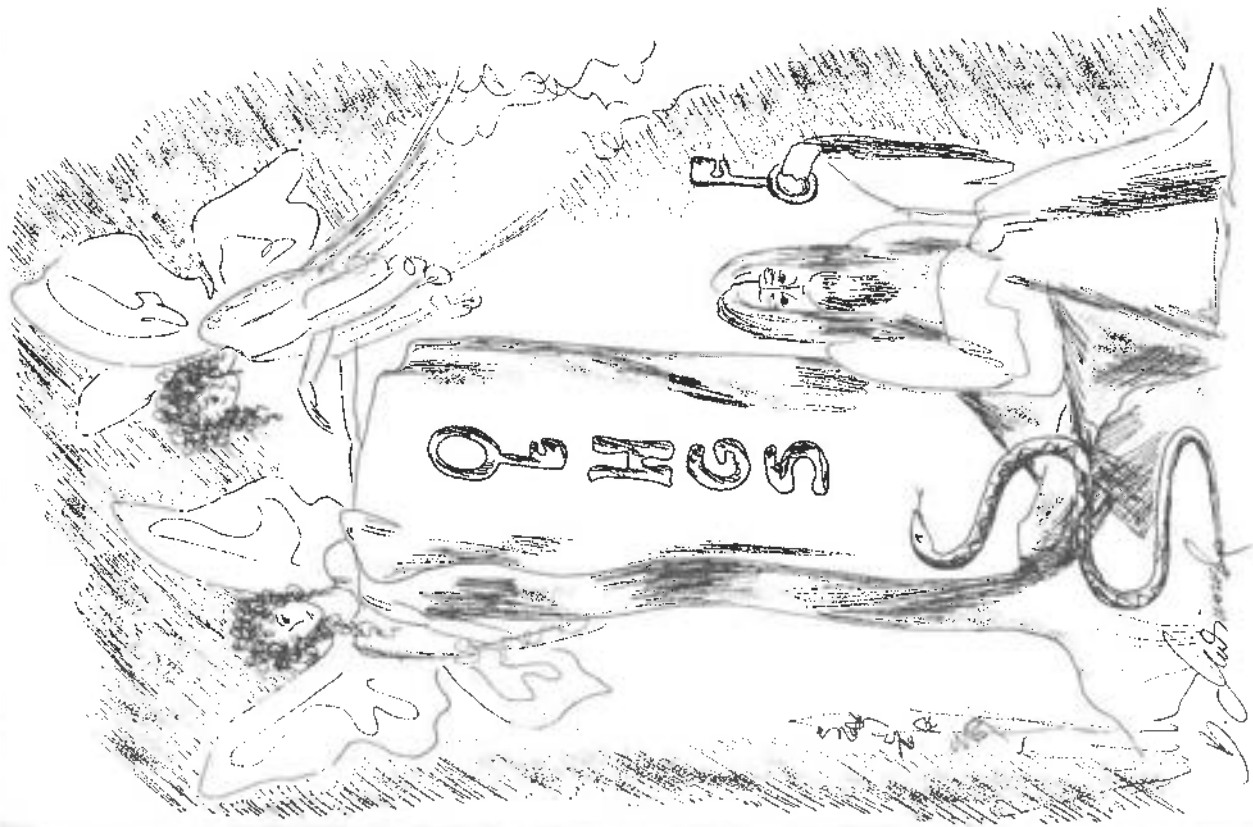
- Dzisiaj o północy wejdź na wysoką górę, gdzie Nowy Dwór stoi i wstąp na dziedziniec zamkowy przez żelazne wrota. Czekać cię tam będę i wskażę,

gdzie skarb wielki ukryty. Zobaczysz tedy wielkie dziwy, ale nie bój się, bo wszystko stracisz!

Zapadła grobowa cisza, wiatr powiał gdzieś za wysokie góry, drzewa stały nieruchomo, nawet ptaszęta zamilkły w swoim świergotaniu. Kiedy Grundel oprzytomniał, postanowił w swoim zamysle - nie mówiąc nic nikomu - wybrać się na zamek już tej nocy.

Strachać się nie będę, mówił sam do siebie, chłop jestem silny nie jedno drzewo łęć a grube co w sześciu chłopca obłąpić zdołali, z moich rąk na ziemię się kładło. Tedy żadne dziwy wystraszyć mnie nie mogą. Idąc ciemnym bosem, marzył chłopina niczym na jawie: dziecka na grzbietach nowe koszule mają, gęby roześmiane do sytości nakarmione, żona w nowej zapasce po obejściu się krząta, doglądając inwentarza: garściami ziarno kurczętom podsypuje. W obórcie krasula siankiem się pastie, a w chlewiku świnki dorodne pokwikują. Niech no tylko skarb odnajdę, myśli sobie - to i z sąsiadem się podzielię tym, co będzie zbywało.

Doczekał wieczora i nic nikomu nie mówiąc, udał się w drogę do zamku. Ale łatwa ona nie była: skały i ciernie raniły ciało drwala. Grundel jednak uparcie szedł, nie bacząc na zwałiska skalne i na węże jadowite między głazami wijące. W końcu drwał stanął przed bramą, za którą znajdował się zamkowy dziedziniec. Ale strach go obleciał. Zawsząđ ciemności wielkie, choćby rękę wyciągniesz - końca pałców nie dojrzysz. Tedy stał chłop bez ruchu jak w ziemię wrosły. Z oddali słyszał było jeno dzwon kościelny, który wybijał północ. Wtem żelazna brama z wolna zaczęła się otwierać bez niczyjej pomocy. Grundel zobaczył na środku dziedzińca ogromny granitowy głaz, na którym wykute były tajemnicze litery i klucz. Od owego kamienia biła taka wielka jasność, jakby ogień we środku się jarzył. Wtem z ciemności zaczęły wylazić przerażające stwory: niby-ludzie, ale z końskimi grzywami i kopytami u nóg, inne znów jakby motyle z kobiecymi głowami, tudzież węże syczące wokół kamienia świetlistego się okręcały i przemieniały w straszliwe potwory z gębami gnomów i koboldów, a na to wszystko muzyka straszna, snuła się pomiędzy te niezliczne stwory, jakoby dym z ogniska palonego na ściermisku. Pośrodku kamienia, w świetlanej poświacie ukazał się starzec z długą siwą brodą. Trzymał w ręku klucz złocisty pasujący do wizerunku wykutego w kamieniu. Wtem muzyka rozbrzmiała na całym dziedzińcu, jakoby w ruinach ze sto skrzypków robiło smykami. Jaśniejąca postać ręką dała znak, aby się drwał zbliżył. Grundel postąpił krok do przodu,



ale go taka niemoc przez to niezwykajne czarodziejskie granie zmogła, że się jak kłoda na ziemię obalił i potoczył bez pamięci w dół urwiskiem skalnym.

Kiedy przyszedł do przytomności, postanowił w rozwadze swojej powrócić na zamck. Okrzypty w siłę ponownie wspiął się na wysoką górę. Gdy dotarł ponownie na szczyt, brama na zamkowym dziedzińcu była otwarta, kamień z tajemniczymi znakami prawie niewidoczny. Wokół panowała gęsta ciemność, jeno wichher między ruinami wył jak na sąd ostateczny. Zasmucił się drwal, że cała wyprawa poszła na marne, że bezpowrotnie utracił sposobność odnalezienia skarbów ukrytych w ruinach zamku.

Dobrze już słoneczko na niebo się wspięło, kiedy Grundel wrócił do chaty, gdzie na progu czekała strogo rozgniewana żona wymówki mu czyniąc, że łązi po próżnicy po lesie, a żadnego pożytku nie ma. Choćby grzybów naniósł i to nie, z rękami gołymi do chaty wraca, gderala rozszierzona baba. Grundel w milczeniu znosił wymówki rozgniewanej żony. Błady i wyczerpany powłókł się na powrót do lasu na wycinkę drewna.

Tego samego dnia wieść gruchnęła po wsi, że jakoby jednego drwala w lesie drzewo na śmierć przywaliło. Jak się potem okazało, był to ów Grundel, któremu nie było przeznaczone odnalezienie skarbu w ruinach zamku.

Ktokolwiek odważy się o północy wejść na zamkową górę, gdzie ruiny ostały się jeszcze, zobaczyć może przy świetle pełni księżyca dziedzińiec a na jego środku kamień. Siedzi na nim duch drwala imieniem Grundel, któremu nie dane było odnalezienie skarbów ukrytych w Nowym Dworcu.

# Zaginiony Skarb

boże czarnym, bogatym we wszelkie drzewo, wyrósł dąb rozłożysty i mocarny. Dźwigał się ku niebu konarem dębowym, pod którym i inne drzewa, ale pomniejsze rosły.

Dąb jednak królował: wziął we władanie cały bór cichy, okolice i stał dumnie niczym opoka. Wiatrem smagany przechowuje do dziś w listowiu zasłyszane historie i baśnie o skarbach ukrytych, o rycerzach walecznych, o wojach, co na wyprawy zmagwali się w drużyny. W długowieczności swojej skarbnicą pamięci jest po dziś dzień.

Ale pewnego razu zdarzyło się, że wędrowiec – cały z sił opadły – pod dębem zaległ, aby odpocząć. Dębowe gałęzie liściem pokryte, leciutkim wiatrem trącane, poczęły szumieć melodyjkę utrudzonemu. Ni to na jawie, ni to we śnie – widzi chłopina, że dębowa gałązka jakoby to ręce matczyną gładzi go zaczynając i do snu tulią. Ale cóż to? Nagle drzewo zaszumiało tak głośno, jakby huragan przewalał się nad borem. W zamęcie tym dał się słyszeć głos, jakoby z samego wierzchu dębowej kotony.

– Postuchaj wędrowcze – zaszumiało drzewo – opowiem ci, a ty zapamiętaj i zapodaj drugim, co onegdaj wydarzyło się w twierdzy, która stała na wysokiej górze, a i niedostępna była, bo ją krzewy ciemiste, wężowiska, ogromniaste głazy granitu porosłe mchem otaczały. Miejscowi zwali to zamczysko Nowym Dworem. Owe zamczysko we władanie posiadli dwaj bracia z rodu von Czetrtriz: Hans i Georg. Rycerze ze szlachetnej drużyny, do której przynależeli owi bracia, winni z rozkazu króla strzec szlaków handlowych ciągnących się dukiem leśnym przez smoczne bory od Wrocławia i Świdnicy do Czech. Owymi szlakami wędrowali zamożni kupcy z licznym zaprzęgiem. Na furach wieźli wszelakie dobra i klejnoty na sprzedanie albo wymianę. Rzemieślnicy wędrowali ze swoimi wyrobami bądź to w drewnie wystrugane albo w rymarskim fachu wyrobione. Nie brakowało też drobnych handlarzy, którzy przechodzili tam i na powrót taszcząc ze sobą rzeczy potrzebne w chatkach do gospodarowania.

Handel się rozwijał, ludziom żyło się dobrze, w chatkach

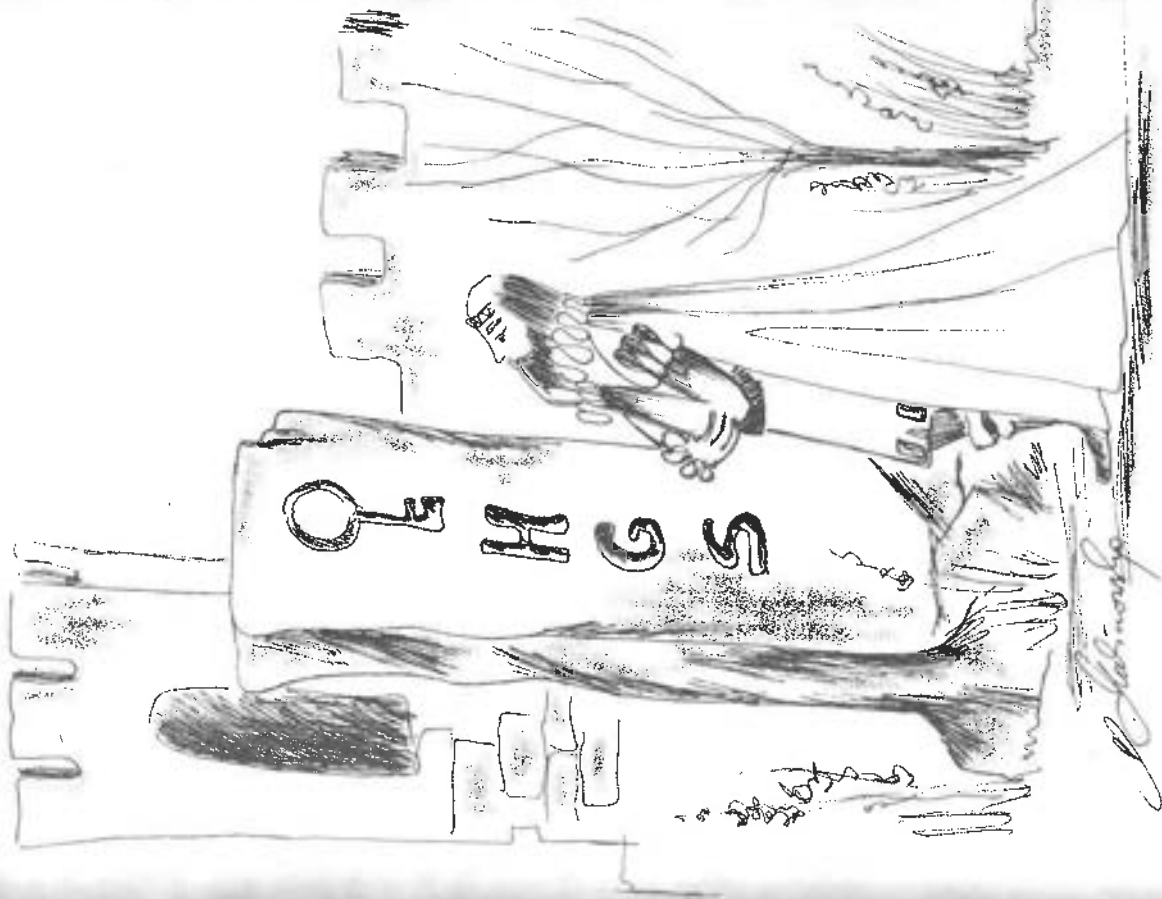
panował dostatek, a okoliczne dwory opływały w bogactwie. Jednak do czasu, bowiem szlaki prowadziły przez gęste bory i knieje, więc zaczęły po okolicach chodzić słuchy o zbójowaniu. Niekiedy bywało, że niejedyn kupiec bogaty życie oddał w obronie swojego mienia.

Strzegący szlaków rycerze rady nie dawali ze zbójceki bandami. Zaczęli więc zastanawiać się nad opłacalnością służby uksięcia, który za ich usługi skąpił grosza, a sam z całym dworem bogacił się niepomierne.

Dwaj bracia z Nowego Dworu dumali, jakby tu dojść bogactwa, którym chełpiły się inne dwory. Umyślili z drugimi na zbójceki drogę wstąpić. Jak postanowili, także uczynili. Najpierw łupili co bogatszych kupców. Wprawieni w rozboju z czasem ograbiali wszystkich, którzy tylko owym szlakiem zapuścić się ósmieli. Bracia gromadzili zrabowane w rozbojach skarby na zamku w Nowym Dworze. W swej chciwości zdobywania łupów zatracili umiar. W końcu i książe dowiedział się o bogactwie rozbojem zdobytym. Ponadto cech kupiecki posłów do księcia słał ze skargami na liczne napaści nękające szlaki handlowe: bo rycerze z Nowego Dworu strzec szlaku mieli, a nie na kupców napadać. Aby podsyć gniew księcia rozpuszczono wieści, że jakoby sprzeniewierzeni dwaj bracia sympatyzowali z husytami.

Rozgniewany Książe postanowił najechać zbrojnie na Nowy Dwór i siłą zdobyć twierdzę, pozbawiając właścicieli praw posiadania, a zgromadzone skarby do własnego skarbcza jako własne zamknąć. Jak zamierzył, tak uczynił: oblężenie trwało tak długo, że braciom zaczęło brakować amunicji, żywności, kończyły się zapasy wody pitnej. Rady nijakiej na pomoc nie było. Dwór ciasno oblężony był wojskami księcia, które co raz nacierały na mury zamczyska.

Po nocnej naradzie Czettritzowie postanowili się poddać, ale wprzód ochronić zagrabione skarby, aby w ręce księcia nie wpadły. Nakazali służbie pozbierać z komnat co cenniejsze trofea i zapakować do ogromniastej skrzyni. Pod osłoną nocy, kiedy miesiaćzek chował się za chmury, powlekli ową skrzynię w upatrzone miejsce i... zakopali bez śladu. Gdy nowy dzionek nastawał i słoneczko zaczęło podnosić się na niebie, wysłali sługę do zamkowego kamieniarza, aby ten nie zwlekając przed ich oblicze czym prędzej się zjawił. Na ogromnym głazie, który stał na środku zamkowego dziedzińca, nakazali wykuć wizerunek klucza i trzy litery H.G.S. Bracia z rodu von Czettritz pogodzeni z Iosem, jaki sobie sami zgotowali rozkazali wydać resztki jадia i ostatnią beczkę wina.



Następnego dnia po bucznej uczcie przepitej winem, ulegli w potyczce z książęcymi wojskami i oddali zamek. Książę w swej dobroci nie pozbawił braci życia, ale za ich ciężkie przewinienia postanowił skazać na banicję. Zwycięzcy poczuli na zamku szukać skarbu, ale na próżno. Jenó Książę zawiedziony stał pośrodku dziedzińca i wpatrywał się jak urzeczony w granitowy głaz, na którym widniały wyryte tajemne znaki.

Szum w dębowych liściach przycichł na chwilę, zaległa leśna cisza. Po czasie znów odezwał się głos:

– Wiele wody w rzekach upłynęło, wiele burz nad ziemią się przewaliło, zanim potomkowie Hansa i Georga z rodu von Czetrtritz odzyskali zamek Nowy Dwór. Zali skarbów nie odnaleźli. Do dziś pośrodku zamkowego dziedzińca stoi głaz jeno trochę zmalaty i tajemne znaki zatarty się nieco przez czas.

I tak zakończył swą opowieść wszechwiedzący stary puszczański dąb, co go w sześciu chłopca obłąpić nie dało rady. A wędrowiec, odzyskawszy siły, nie wiedział: sen to był czy jawa?

*Danuta Orska*

# Skarby Pelcznicy

ziano się to wtedy, gdy na świecie nie było jeszcze naszych pra-, pradziadków. Wówczas dolnośląski region porastały stare i ogromne drzewa, tworzące piękne bory i nieprzebyte puszcze. W Wałbrzychu i jego okolicach próci ludzie trudnili się rolnictwem, wyrabiali garnki albo szyli zgrzebne szaty. Polowali na zwierzynę, a ze skór robili rzemienie i odzienie na zimę. O majątnym życiu na zamkach słyszeli tylko z opowiadań wędrowców. A jak to z opowieściami zwykle bywa, każdy coś dodawał i w ten sposób powstawały niesamowite historie na temat ogromnych bogactw. Im więcej opowiadano o życiu na zamkach, tym opowieści stawały się coraz barwniejsze. Ale czasy wtedy były też inne: rządźli mądrzy i gospodarni władcy. Sprowadzali bogate materiały, srebrne naczynia i lichtarze – na całym Dolnym Śląsku rozwijał się handel, przyjeżdżali tu nawet kupcy z dalekich, zamorskich krajów. Moźni panowie i pracownicy rzemieślnicy rozbudowali kraj: wznosili wspaniałe zamki, okazałe klasztory, kościoły i bogate kamienice.

Niestety, po śmierci ostatniego z zapobiegliwych i gospodarnych Piastów nastaly ciężkie czasy. Najpierw dla kupców, bo to na ich karęty i powozy zaczęto napadać w pierwszej kolejności. Z czasem rabusie zajęli się okradaniem grodów i zamków. Trwało to długie lata. Biedni popadali w ubóstwo, bogaci ubożeli. Gromadzony przez lata majątek przepadał w ciągu jednej nocy. Grody nie tylko okradano, ale i podpalano: dla zatarcia śladów bądź z zemsty, że łup nie spełniał oczekiwań złodziei. Przez dwięście lat dolnośląskie zamki nie potrafiły obronić się przed napadami groźnych band i rzezimieszek. Kradli oni nie tylko to, co świeciło się złotem i srebrem w bogatych komnatach. Ich łupem padał też żywy inwentarz: nie gardzili kurami, kaczkami; kradli prosiaki i konie. Ogołocali piwniczki z wina i zapasów. Dochodziło do tego, że jedni okradali grody, drudzy grabili tych, którzy z łupami wracali. Znane bandy na terenie Dolnego Śląska tworzyli dzierżawcy zamków: Grodno, Radosno, Rogowiec, Cisy czy też Książ. Ale była też złodziejska banda

leśnych ludzi, na czele której stała kobieta – kierowała swoimi pięcioma braćmi. A było to tak: rodzeństwo zostało osierocone bardzo wczesnie. Dopóki bracia uprawiali ziemię i mało stykali się z obcymi, żyli jak Pan Bóg przykazał. Kiedy jednak dorosli i zaczęli zachodzić do karczmy, poczęli się przysłuchiwać, jak wędrowcy opowiadają o zasłyszanych napadach. I zaczęło braciom świtać w głowach, że pewnie i oni mogliby też dokonać napadu na jakiegoś możnego pana, który jechałby karetą. Obmyślili plan i wdrowyli go w życie: złupili garść talarów i jakieś świecące brosze. Czuli, że już teraz wszystko potrafią zrobić. Najtrudniej jednak było przyznać się siostrze, czego dokonali. Ale jakie było ich zdziwienie, gdy siostra – po obejrzeniu skarbów – wrzasnęła na całe gardło:

– Wy darmożady! Wy niedożydy! To ja wam piorę, gotuję, ceruję, a wy co? Teraz się dopiero przyznajecie, że umiecie kraść?! No już, szybko! Następną wyprawę szykujcie! I mi tu dukatów, i talarów całe garście macie przynieść!

Ledwie chłopcy noc przespali, a już omawiali kolejną wyprawę po skarby. Następnym razem zastawili łupami cały stół w izbie. Były to miski, czarki, srebrne kufle, czerwone paciorki nadziane na nici. Żółte kamienie o nieregularnych kształtach, lichterze bogato zdobione, krzyże rzeźbione i pełne trzasy dukatów.

Ale siostra krzyczała dalej:

– Tylko tyle?! A wy niedorajdy!...

I gdy ledwo wstało słońce, siostra budziła braci:

– Szybko wstawać! Po dukaty mi się zbierać, a nie marudzić!

Każdy pieniądz, każdą miskę i grawerowaną łyżkę, słowem wszystko, co zrabowali bracia – siostra chowała głęboko w skrzyni, a z każdym dniem zachłanna dziewczyna chciała więcej i więcej... Bywało, że chłopcy do grodu, który chcieli ograbić, jechali po kilka dni w jedną stronę. Po drodze dochodziło niekiedy do bójk i rozboju z innymi bandami, więc bracia-rabuste dostawali bolesne ciosy, a rany i siniaki długo się goiły. Siostra nie zważała na okaleczonych braci. Robiła im jakieś kompresy z ziół, wypowiadała nad nimi zaklęcia i... to było całe współczucie z jej strony. Chytrą kobietą nie miała granic. Wszystkie skrzynie w chacie zapełnione były dobrami. I na strychu, i w piwnicy pełno było złota, srebra, i drogich kamieni. Bracia ograbili już wszystko w okolicy. Ale pewnego razu jeden z nich powiedział, że słyszał o zamku na skale, który Książ się

zowie. W nim są ponoć tak duże skarby, że trudno je udźwignąć. Uradzili więc, że pójdą do zamku następną noc, ale zabiorą ze sobą siostrę, bo jeśli w zamku jest tak dużo skarbów, to jedna osoba więcej nie zawadzi. Jak postanowili, tak zrobili i kiedy zapadła noc, rozpoczęli wyprawę do Książa. Konie uwiązali na skraju lasu, a sami podchodzili pod mury zamkowe tak ostrożnie, aby nikt ze strażników ich nie dostrzegł. Ale tej nocy straszno było wszędzie, bo rozpętała się burza z piorunami i wichurą poczęła łamać gałęzie. Rodzeństwo rabusiów ograbiło jednak zamek, a łupy zapakowało do worów. Każdy z braci wziął po jednym worku na plecy, ale ciężar złota pochylał ich do ziemi. Siostrze mało było jednego worka, więc dodatkowo wzięła w drugą rękę kolejny napełniony do połowy. Wtem piorun uderzył w zamkową wieżę, oświetlając objuczonych rabusiów. Straż zadzwoniła na alarm i ruszyła w pogoń za rzezimieszkami. Rodzeństwo uciekało w popłochu, bojąc się straży i grzmotów. Wbiegło na drewnianą kładkę łączącą brzegi Pelcznicy. Niestety, spróchniały mostek nie udźwignął ciężaru sześciu osób i wielu kilogramów złotych monet. W jednej chwili kładka załamała się i rabusie powpadali do rzeki Pelcznicy. Wtedy z jeszcze większą siłą dała znać o sobie burza. Wystraszeni złodzieje nie próbowali nawet zbierać rozsypanych na dnie rzeki monet. Chłopcy, ze strachu przed strażnikami, ale i przed siostrą, rozpieczęli się na cztery strony świata. Siostra z żalu nad utraconym skarbem postradała zmysły. Ponoć błąka się po lasach i do wtóru z wiatrami woła:

– Złoto! Złoto!...

Bracia więcej już nie kradli, bo doszły do nich wieści, że możny pan władający Śląskiem – król węgierski Maciej Korwin – wprowadził surowe kary dla rzezimieszków. Rozkazał palić ich domostwa i zamykać w lochach na długie lata.

Przez lata wielu śmiałków próbowało szukać złota w Pelcznicy. Ukazuje się ono ponoć w noc świętojańską dokładnie o północy, lśniąc w świetle księżyca. Skarbu jednak pilnują strażnicy zamkowi – ci sami, którzy zostali ukarani za niedopilnowanie skarbcza przez ścięcie na gilotynie. Do dziś ich dusze zamieniają się w groźne psy, które strzegą brzegów rzeki.



## Skarby zamku Książ

Yooo

Standardy

Wzrost

Rozwoju

Czytelnictwa  
2.0

Dofinansowanie ze środków  
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
w ramach realizacji Rządowego  
Programu Rozwoju Czytelnictwa  
na lata 2021-2025

# H

istoria ta wydarzyła się w czasach, gdy w większości okolicznych zamków mieszkali rycerze-rozbójnicy.

Najniebezpieczniejsi byli rycerze-rabusie ze Starego Zamku – znani z wyjątkowej bezwzględności i okrucieństwa. Dali się oni mocno we znaki poddanym z książańskich włości, szczególnie zaś kupcom i mieszczanom. Wielu z nich straciło przez nich swoje mienie, a nawet życie. Okoliczni mieszkańcy omijali drogi biegnące w pobliżu Starego Zamku, a kupców i mieszczan ostrzegali, by szukali bezpieczniejszych miejsc dla swoich pieniędzy i kosztowności. Niektórzy zdecydowali się przechowywać je w skarbcu na zamku Książ.

Wiadomo było, że skarbiec mieści się w kilku sąsiednich pomieszczeniach zamkowych piwnic. Ale nikt oprócz kasztelana nie znał dokładnie jego zawartości. Toteż o miejscu tym od dawna krążyły fantastyczne wieści. Opowiadano o potężnych żelaznych kufrach wypełnionych dukatami i talarami, drogocennymi klejnotami, najkosztowniejszą biżuterią; wspomniano wspaniale zdobione okazy broni oraz paradne szaty tkane złotą bądź srebrną nicią.

Rycerze-rabusie, dowiedziawszy się o tych skarbach, wysłali do Książa szpiegów. Zwiadowcom udało się pomyślnie wypełnić powierzoną im misję. Powróciwszy z zamku, potwierdzili, że wiadomości o zgromadzonych tam bogactwach są prawdziwe. Zauważyli jednak, że tak skarbcza zamkowego, jak i całego Książa pilnie strzeże wielu strażników. Nie mogli więc rycerze-rabusie zdobyć zamku w otwartej walce, gdyż było ich zaledwie kilkunastu. Nie potrafili się jednak z tym pogodzić i całymi dniami

obmyślali fortel, który pozwolilby im wdrzeć się do piwnic i zawładnąć ukrytymi w nich skarbami.

- Może zrobić podkop pod zamek? - zaproponował któryś z nich.

- To niemożliwe - odpowiedzieli pozostali. - Skala, na której stoi zamek, jest zbyt twarda.

- A może zatruć wodę, którą dostarcza się do Książa na grzbietach osłów? - zaproponował inny.

- To też nic nie da - odpowiedzieli jego kamraci. - Przecież nasi szpiedzy widzieli, że woda przed waniem do studni jest sprawdzana. A studni tej w dzień i w nocy pilnuje dwóch strażników.

Były też inne pomysły, ale żaden nie wydawał się dość dobry. Zdawało się więc, że skarby z zamku są bezpieczne, a rycerze-rabusie nigdy ich nie zdobędą. Niestety, niechcący pomógł im sam kasztelan z Książa.

Otóż ogłosił przez swoich heroldów, że poszukuje ludzi do różnych prac w zamku. Wprawdzie zgłosiło się kilku chętnych, ale szybko zrezygnowali. Kasztelan bowiem wykorzystywał ich prawie jak niewolników, nie chcąc na dodatek za ich katorżniczą pracę płacić.

Gdy rycerze-rabusie dowiedzieli się o tym, postanowili wykorzystać nadarżającą się okazję. Jeden z nich - imieniem Marcin - przebrał się w strój wieśniaka i zgłosił się na służbę do zamku.

Stanął przed obliczem kasztelana, uklonił się nisko i jał prosić o pracę słowami, które sobie wcześniej przygotował:

- Najmiłościwszy kasztelanie, przyjmij mnie do pracy u siebie, a nie będziesz żałował. Znam się bowiem na wielu robotach i mogę wykonywać nawet najniebezpieczniejsze zajęcia. Będiesz na pewno ze mnie za-

dowolony, a i oszczędzisz na mnie, bo za całą zapłatę wystarczy mi tylko codzienne pożywienie. Sama bowiem praca u tak sławnego rycerza jak ty, kasztelanie, jest największym wynagrodzeniem.

Kiedy skończył mówić, znów uklonił się pięknie i spojrzął na kasztelana, czekając na odpowiedź.

Kasztelan, patrząc na niego uważnie, zamyślił się na chwilę. Zaimponował mu



ten prosty wieśniak dobrymi manierami. Ucieszyły go też pochlebstwa skierowane pod jego adresem, bo lubił, gdy go chwalono. Najbardziej jednak spodobało mu się to, że oprócz codziennej stawy przybysz nie żądał za pracę prawie żadnej zapłaty, w przeciwieństwie do wszystkich, którzy tu wcześniej przychodzili. Kasztelan, który znany był ze swojego skąpstwa, pomyślał, że zrobi świetny interes, zatrudniając u siebie tego wieśniaka.

– Dobrze – powiedział. – Przyjmuję cię do pracy, ale pamiętaj – tu pogroził palcem – masz mi służyć wiernie i być na każde moje zawołanie.

I tak oto, niczego nie podejrzewając, przyjął do pracy w zamku rycerza-rabusia.

Marcin rzeczywiście służył mu wiernie. Skoro świt z pierwszym pianiem kogutów zrywał się z posłania i wykonywał bez słowa wszystkie polecenia. Początkowo pomagał w kuchni i przy sprzątaniu zamku. Później pracował w stajniach zamkowych – a przecież pracę przy koniach, jak każdy rycerz, bardzo lubił. Wreszcie, brał udział w różnych pracach budowlanych, głównie przy wzmacnianiu murów zamkowych.

Zasypywał też codziennie pochlebstwami kasztelana i jego rodzinę, stając się wkrótce ich ulubieńcem. A przy tym wszystkim na zamku imponował swoimi umiejętnościami w jeździe konnej. Dzięki temu szybko awansował i z prostego sługi stał się wkrótce giermkim jednego z rycerzy.

Jednocześnie Marcin baczenie obserwował zwyczaje panujące na zamku, szczególnie zaś strażników pilnujących warowni tudzież jej skarbów. Zauważył, że lubią oni tego popić, każdego dnia wypróżniając kilka beczulek piwa i wina z piwnic znajdujących się niedaleko skarbcza. Zdradziecki sługa zaczął opracowywać pewien plan. Szczęście mu sprzyjało.

Otóż jeden ze strażników skarbcza – ożeniwszy się z piękną panną z Bolkowa – przeniósł się na służbę do tamtejszego zamku. Kasztelan z Książa



martwił się, kogo przyjąć na jego miejsce. Praca strażnika zamkowego była bowiem niezwykle odpowiedzialna. Wykonywać ją mogli tylko ludzie uczciwi, odważni oraz potrafiący dochowywać tajemnicy.

Po długim namyśle kasztelan postanowił, że powierzy to zadanie właśnie Marcinowi. Wezwawszy go do siebie, oznajmił mu swoją decyzję:

– Służyłeś mi dotąd wiernie; w nagrodę postanowiłem, że od jutra będziesz strażnikiem skarbca zamkowego. Myślę, że również z tą pracą dobrze sobie poradzisz i łatwo sprostasz nowym obowiązkom.

– Na pewno sobie poradzę – odpowiedział Marcin. – Dziękuję, wielmożny panie kasztelanie, że obdarzasz mnie aż tak wielkim zaufaniem. Zapewniam cię, że nigdy tego nie pożałujesz.

Mówił bardzo poważnie i spokojnie. W duchu jednak śmiał się, iż udało mu się uspić czujność kasztelana do tego stopnia, że oto jemu – rycerzowi-rabusowi – powierzył pilnowanie skarbca zamkowego. Mógł teraz spokojnie przystąpić do działania według swojego planu, który już dawno dokładnie obmyślił.



Pewnego dnia zakradł się do piwnic, gdzie przechowywano piwo i wino. Do beczek wlał niewielką ilość tajemniczej mikstury. Na efekt nie trzeba było długo czekać.

Już pod wieczór strażników pilnujących zamku i skarbcza zaczęła ogarniać senność. Wino i piwo, zaprawione miksturą, zaczęło na nich działać usypiająco, tak że już wkrótce wszyscy zasnęli kamiennym snem. Marcin zaś szybko zabrał się do pracy.

Pochował wszystkim strażnikom broń i skrępował ich grubym sznurem. Następnie wszedł na szczyt wieży zamkowej, by stamtąd nadać swoim kamratom ze Starego Zamku wcześniej umówione sygnały świetlne.

Widząc znak, na który od dawna czekali, rycerze-rabusie natychmiast ruszyli w kierunku Książa. Zeszli w dół wąwozu Pelcznicy, przeszli mostek przerzucony nad nią i podeszli od strony południowej pod zamkowe mury. Pokonali je za pomocą lin, a wówczas mieli już blisko do skarbcza, u którego wejścia powitał ich Marcin.



Kiedy weszli z nim do środka, ich oczom ukazał się tak wspaniały widok, że na chwilę znieruchomieli. Nigdy jeszcze nie widzieli aż tylu skarbów zgromadzonych w jednym miejscu. W słabym świetle pochodni złote i srebrne monety mieniły się oślepiającym blaskiem. A wspaniałe klejnoty roziskrzyły się tak mocno, że w skarbcu zrobiło się jasno jak w dzień.

Rabusie zaczęli upychać złoto, srebro, drogocenne kamienie i inne skarby do swoich worków. Nie śpieszyli się jednak specjalnie. Wiedzieli, iż strażnicy chrapią sobie w najlepsze, a skarbów było tak dużo, że i tak nie byliby w stanie wszystkiego zabrać. Wydawało się, że szczęście będzie im sprzyjać do końca.

Stało się jednak inaczej. Kiedy wychodzili już ze skarbcza, Marcinowi worek wysunął się z rąk, upadł na ziemię i rozwiązał. Wypadające monety spowodowały duży hałas. Obudziło to jednego ze strażników. Widząc uciekających rabusiów, zaczął krzyczeć:

– Alarm! Alarm! Złodzieje w zamku! Alarm!

Niestety, pozostali strażnicy nadal sobie spokojnie spali. Uwolniwszy się z więzów, obudzony strażnik zaczął szarpać swoich towarzyszy, ale na nic się to zdało. Dopiero gdy chlusnął na nich zimną wodą, powoli zaczęli się budzić. Nim jednak całkowicie oprzytomnieli, nim rozwiązali sznury, nim wreszcie znaleźli swoją broń – złodzieje zdążyli już opuścić zamek.

Noc była bardzo ciemna. W gęstym lesie rabusie zgubili ścieżkę, którą przyszli do Księża. Zaczęli błądzić i kluczyć między drzewami. Ciężkie worki utrudniały marsz, stąd też niektórzy głośno narzekali, że zabrali za dużo skarbów. W końcu jednak dostrzegli migoczącą w świetle księżyca Pelcznicę i przerzucony przez nią mostek. Uspokoili się nieco i zaczęli ostrożnie na niego wchodzić. Tu jednak spotkało ich prawdziwe nieszczęście.

Nie był to bowiem mostek, którym szli wcześniej do Księża, a zupełnie inny – bardzo stary i zniszczony. Drewno, z którego go zbudowano, całkowicie zbutwiało. Nie wytrzymał więc ciężaru rabusiów objuczonych workami... i się załamał. Wszyscy, którzy na nim byli, wpadli do rzeki i poszli na dno razem z łupem.

Inni rabusie, słysząc zbliżającą się pogoń, nie mieli już drogi odwrotu. W popłochu zaczęli wskakiwać do rzeki, próbując pokonać ją wplaw. Ich również spotkał ten sam los co kamratów, którzy byli na mostku. Albo po-

tonęli pod ciężarem worków, albo zostali wciągnięci przez rzeczne wiry.

Kiedy pościg dotarł w to miejsce, nikogo już nie znaleziono.

Skarby z rozwiązanych worków opadły na dno rzeki i leżą tam do dzisiaj. Dotrzeć do nich można bardzo łatwo – wystarczy tylko odnaleźć ścieżkę, którą uciekali rycerze-rabusie. Jednak jak dotąd nikomu się to nie udało, zatem książęńskie skarby nadal czekają na swojego odkrywcę.

Najlepiej widoczne są podczas pełni księżyca. Iskrzą się z dna rzeki, a woda w tym czasie wyrzuca na brzeg złote i srebrne monety. Lepiej jednak wtedy nie podchodzić zbyt blisko. Z toni wylaniają się bowiem straszliwe postacie, które wciągają śmiałków do wody. Ludzie powiadają, że są to duchy potopionych rycerzy-rabusiów, które strzegą tych skarbów do dzisiaj.

